

portret  
online  
27

portret  
online  
27

Justyna Jaskurzyńska  
**„Być Murzy-  
nem, to być  
człowiekiem”**

„Jezus Maria! Jestem czarny! - Antek Kozłowski opadł na poduszkę i zamknął oczy. Nie, to niemożliwe, to jakiś koszmarny sen. Powoli otworzył jedno oko i zerknął z nadzieją w lustro stojące przy łóżku. Boże! To prawda! - Twarz niby ta sama, jego własna, te same chabrowniebieskie oczy, ten sam nieco za duży nos, tylko skóra czarna, a na głowie czarne mocno skręcone włosy. Antek spojrział na rękę - też czarna, odchylił kołdrę i pizał, brzuch też czarny, podniósł gumkę od spodni, zajrzał głębiej i, zrezygnowany opadł na poduszkę. Był czarny - od stóp do głów” - tak rozpoczyna się pełna humoru powieść Piotra Nikle-

wicza.

„Niezwykła kariera Antoniego K.” to kolejna już pozycja w ‘serii z zegarkiem’ Wydawnictwa W.A.B. Swoją premierę miała 26 października 2006 roku, a więc zdążyła się już zadomowić na księgarskich półkach. Zachętą do jej przeczytania może być nazwisko autora, Piotr Niklewicz to bowiem dziennikarz znany z „Tygodnika Powszechnego” i „Głosu Ameryki” oraz tłumacz dzieł J. Ortegi y Gasset.

Antoni Kozłowski, z angielska zwany Tony - to polski emigrant z podłomżyńskiego miasteczka. Zdawać by się mogło, że będzie to kolejna opowieść o losach ciężko pracującej Polonii amery-

kańskiej. Nic bardziej mylnego. „Niezwykła kariera Antoniego K.” rozpoczyna się podobnie jak filmy Hitchcocka: „na początku jest trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie”. W tym przypadku dalej jest raczej śmiesznie i cynicznie.

Tytułowy bohater, w wyniku wypadku samochodowego, zapada na bardzo rzadką chorobę zwaną pigmentosa australensis, której głównym objawem jest wydzielenie się „atawistycznego genu afrykańskiego”, czyli po prostu ciemnienie skóry. Z dnia na dzień Antek staje się czarny. Prostemu chłopakowi trudno byłoby pogodzić się z taką zmianą, zwłaszcza, że porzuciła

go dziewczyna i musiał wypro-  
wadzić się z dzielnicy zamiesz-  
kiwanej przez swoich ziomków,  
gdyby nie zaskakujący zbieg  
okoliczności... Okazuje się bo-  
wiem, że przypadek Tony'ego  
staje się dla niego przepustką do  
kariery. Zupełnie przypadkowo,  
a niekiedy za sprawą wpływo-  
wych organizacji i wysoko po-  
stawionych działaczy amerykań-  
skich, Antoni staje się jednym  
z najprężniejszych aktywistów  
walczących z dyskryminacją i  
rasizmem w Stanach Zjedno-  
czonych. Wkrótce zostaje też  
prezesem Fundacji im. Martina  
Luthera Kinga do Walki z AIDS  
i Malarią w Afryce, a przez jego  
rękę przepływają miliony do-

larów. Ta lukratywna posada i  
coraz większy krąg znajomych,  
sprawiają, że ten nieokrzesany  
chłopak z Piątnicy z impetem  
wkracza na salony i szybko po-  
znaje tajniki gry politycznej.  
Historia opisana przez Piotra  
Niklewicza to klasyczny „amery-  
kański sen”, kariera od „pucybuta  
do milionera”, którą główny bo-  
hater zawdzięcza kolorowi skóry.  
Gdyby nie fakt, że stał się Mu-  
rzynem, prawdopodobnie wciąż  
pracowałby jako wykonawca  
drobnych robót budowlanych.  
Cudaczna zmiana pigmentu,  
a także wielkość jego członka,  
sprawiają, że wokół niego po-  
jawiają się bardzo wpływowe  
kobiety, które pomagają mu w

osiągnięciu sukcesu.

Możliwe, że feministki poczują  
się zniesmaczone i oburzone  
lekturą. Kobiety w „Niezwyczajnej  
karierze Antoniego K.”, choć  
piastują wysokie stanowiska,  
zdają się interesować albo przy-  
rodzeniem Tony'ego, albo tym,  
co mogą osiągnąć sypiając z nim.  
Są chciwe, cyniczne i płytkie.  
Nawet te dobrze wykształcone,  
nie są w stanie oprzeć się uro-  
kowi tego polskiego „wieśniacz-  
ka”, który widzi w nich niewiele  
więcej niż „podniecającą figurę,  
śliczne piersi i zgrabnie opięty  
sukienką tyłeczek”.

Tą satyryczną, niekiedy pro-  
stacko zabawną, opowieść o  
współczesnej Ameryce i sko-

mercjalizowanym społeczeń-  
stwie amerykańskim, można by  
odnieść do każdego państwa, w  
którym świat polityki kojarzy  
się jedynie, z jakże popularnymi  
dziś w Polsce, układami, a altru-  
izm i działalność charytatywna,  
to jedynie hasła w słowniku  
wyrazów obcych, dawno już za-  
pomniane. Świat przedstawiony  
przez Niklewicza obraca się wo-  
kół pieniądza i seksu. Jeżeli nie  
można czegoś załatwić przez  
łóżko, to na pewno odpowiednia  
ilość zer na koncie lub wysokie  
stanowisko załatwią sprawę.  
Niklewiczowi nie umknął także  
temat przesadnej „poprawności  
politycznej”, którą autor spro-  
wadza do absurdu. W obawie

przed oskarżeniem o dyskryminację zatrudnia się mniejszości narodowe i seksualne, promuje się je w towarzystwie, a niekiedy wynosi się na najwyższe urzędy państwowe. Po lekturze nasuwa się spostrzeżenie, że aby zrobić karierę w niektórych stanach Ameryki, najlepiej byłoby urodzić się Afroamerykaninem wyznania mojżeszowego, a w dodatku o upodobaniach homoseksualnych.

Język, którym posługuje się Antoni Kozłowski i inne postaci pojawiające się w „Niezwyczajnej karierze...”, to język ulicy, arogancki i wulgarny. Brak w nim wyszukanego słownictwa, które przynależne jest osobom na

odpowiednim poziomie. Poza nielicznymi wyjątkami. Książka ta może być świetnym przewodnikiem dla przyszłych oratorów. Mowy, niejednokrotnie wygłaszane przez Antka K. na rozmaitych rautach i konferencjach, to prawdziwy majstersztyk. Przepelnione nic nie znaczącymi sloganami w stylu „walka to walka”, czy „być Murzynem - to być człowiekiem” wywołują burzę okłasków i podbijają serca coraz to szerszej widowni.

„Niezwyczajna kariera Antoniego K.” to swoista kalka dobrze już znanej historii o Nikodemie Dyzmie, tyle że przeniesiona na grunt amerykański i lekko zabarwiona „czekoladą”. To satyra

na współczesny świat goniący za pieniądzem, który stanowi najwyższą wartość, a nieodłącznymi towarzyszkami mamony są hipokryzja i zakłamanie. Autor nie wchodzi jednak w filozoficzne dywagacje na temat kondycji moralnej społeczeństwa, lecz na prostych przykładach pokazuje jego obłudę, a czytelnikowi pozostawia dowolność interpretacji.

*Piotr Niklewicz,  
Niezwyczajna kariera Antoniego K.,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2007.*



## Marta Skłodowska Tropami Dinki

„Chłopiec pozbawiony naskórka, z całą swoją słodyczą, blaskiem i rozbrajającym poczuciem humoru, chłopiec, któremu duszno było w każdym miejscu, we wszystkich narzuconych sytuacjach” – mowa tu o Szaju, jednym z bohaterów książki Dawida Grosmana „Kto ze mną pobiegnie”, który jest dalekim początkiem całej akcji. Lecz zanim go poznamy, pojawia się Asaf. To poważny i nieśmiały szesnastolatek, który większość swego wolnego czasu spędza przed komputerem. W ramach wakacyjnej pracy w urzędzie miejskim w Jerozolimie otrzymuje zadanie odnalezienia właściciela żółtego labradora, który

już od pierwszej chwili jawi się jako stworzenie niezwykle. Dinka, bo tak na imię ma pies, to inteligentne, przewidujące i wykazujące się niemal ludzką świadomością zwierzę. Od razu zauważamy jego niecodzienne przymioty. To dobry duch książki, element łączący głównych bohaterów w sposób magiczny i uroczy zarazem.

Dinka należy do Tamar, ogromnie utalentowanej wokalnie piętnastolatki, która postanawia uciec z domu, by wyruszyć na poszukiwania swego brata Szaja. Poszukiwania wiodą przez narkotykowy świat jerozolimskich ulic, gdzie, przygnieciony skutkami swej artystycznej nadwraż-

liwości i buntowniczych kłótni z rodzicami, Szaj ucieka od rzeczywistości w „raj” środków odurzających.

Życie Asafa i Tamar splata się dzięki Dince, która – przypadkowo zagubiona – dostaje się w ręce chłopca, a ten wyrusza na poszukiwania właścicielki. Podążając tropem dziewczyny poznaje jej kolejnych przyjaciół i prześladowców, ludzi, którzy mniej lub bardziej zaistnieli w życiu Tamar. Odkrywa stopniowo ważny fragment życia osoby, której jeszcze nigdy nie widział, a mimo to na swój sposób już pokochał. W trakcie poszukiwań spotyka go wiele, zarówno miłych, jak i nieprzyjemnych,

przygód, zdarza mu się nawet ryzykować życie.

Dawid Grosman stworzył powieść, w której połączył tak wiele elementów, że zdaje się ona być nie jedną, lecz kilkanaściami naraz. Opisy zawitych, ale i pięknych, uliczek Jerozolimy zbliżają nas do tego miasta. Podążając za Dinką i Asafem poznajemy zupełnie nowy jego obraz – miasto staje się współczesne, bliskie, znane. To świat jakby tuż obok, niemal ocierający się o rzeczywistość, w której uczestniczymy na co dzień.

Życie w Izraelu ukazane jest w pełni swoich barw. Grosman z ogromnym kunsztem, odważnie tworzy postacie, pełne realizmu

i wyraziste, choć nie zawsze pozytywne. Każdy z bohaterów jest oryginalny, zupełnie wyjątkowy i, co ważne, pojawia się w książce w taki sposób, że jego obecność wydaje się nieodzowna i oczywista.

Autor „Kto ze mną pobiegnie” nie bawi się we wstępy i od razu ‘wrzuca’ czytelnika w wir akcji. Nie pozwala na spokojne poznanie pierwszych bohaterów, to droga, podróż i przygoda ukazują nam, kim są owe postacie. Łączy w swojej książce elementy powieści sensacyjnej, psychologicznej, thrillera, a nawet baśni. Do świata nakreślonego ostrym piórem prawdopodobnych wydarzeń wlewa odrobinę magicz-

nego atramentu, mistycznych zbiegów okoliczności, tworzonych palcem przeznaczenia przypadków i miłości – bezwzględnej, jedynej, odwiecznej i oczywistej. Spotykamy tu bohaterów tak niezwykłych, jak zamknięta od 50 lat w klasztorze mniszka, młody pasjonat astronomii z twarzą pokrytą bliznami po oparzeniach, dziewczyna parodiująca na ulicy znane osoby, o włosach zielonych jak trawa wiosną. W każdej chwili położenie głównych bohaterów może ulec zmianie lub... z pełnej niepewności i napięcia sytuacji Asafa możemy zostać przeniesieni w spokojny dzień Tamar. Jak wspomniałam na początku,

role pierwszoplanowe odgrywają szesnastoletni Asaf, piętnastoletnia Tamar, Szaj ma natomiast zaledwie osiemnaście lat. Jednak problemy, z jakimi muszą się uporać, niejednego dorosłego doprowadziłyby na skraj wyczerpania. Mimo tego autor nadaje „swoim dzieciom” cechy niemal heroiczne, co pozwala im pokonać wszelkie przeciwności, jedynie z niewielką pomocą przyjaciół.

Historia kończy się happy endem. Nic dziwnego, przecież nastoletni bohaterowie zamienieni w herosów muszą wygrać. To powieść, która naprawdę wciąga, porywa w swój świat tak szybko i silnie, że nie sposób się

od niej oderwać. Autor stworzył baśniową opowieść o prawdę ważnych sferach naszego życia. To historia, która wzrusza i zachwyca, a pod podszewką opowieści o nastolatkach odsłania się przed nami ważny głos dotyczący świata dorosłych.

*David Grosman,  
Kto ze mną pobiegnie,  
przeł. Leszek Kwiatkowski,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2006.*



## Michał Orłowski Szarość chłodu

Zima roku 1991, morski horyzont skąpany w śniegu. Zimnym porankiem u wybrzeży Szwecji, wśród morskich fal, załoga kutra rybackiego znajduje ponton ratunkowy. Niezwykły ponton, wewnątrz którego marynarze odkrywają zwłoki dwóch mężczyzn ubranych w eleganckie włoskie garnitury. Kim byli? Dlaczego zginęli? Skąd wzięli się na środku morza? Taką zagadką rozpoczyna się powieść kryminalna „Psy z Rygi” Henninga Mankella. Rozwiązać ją próbuje wydział kryminalny policji w Ystad. Śledztwo przejmuje nadkomisarz Kurt Wallander. Nie spodziewa się, że to dopiero początek sprawy, która zmusi go

do wyjazdu poza granice Skanii. Od samego początku z powieści ‘wylewa się’ ciemny chłód, który przenika czytelnika. Mankell doskonale ‘operuje’ pogodą, wprawiając czytelnika w iscie skandynawski nastrój. W jakiś sposób powietrze w powieści wydaje się szare, tak samo jak większość miejsc, w których toczy się akcja. Czasem tej szarości jest zbyt wiele. Postacie mimo kolorytu, nadanego przez autora, rozbudowanej historii i odmienności charakterów, kojarzą mi się z barwą wód Bałtyku jesienią. Szarych, zimnych, pełnych ciemnych, może nawet melancholijnych, fal. Nie zachęcają do kąpieli, jednak doskonale pasują

jako tło powieści kryminalnej.

Według mnie jedną z głównych zalet książki jest jej normalność. Autor bowiem zatrzymuje się nad zwyczajnością, kłopotami osobistymi i niewielkimi radościami, które tak dobrze znamy. Nie jest to kryminał typu instant, oparty na modelu amerykańskim. Idealnie dobry, szczególnie bystry policjant, tropi bezwzględnie złego i przebiegłego mordercę, po rozwiązaniu kilku zagadek i emocjonującym końcowym pościgu, przestępca trafia w ręce sprawiedliwości. Wystarczy dodać tło, kilka imion, dwie, trzy zagadki, i powieść gotowa. Zupełnie inaczej jest w „Psach z Rygi”. Mankell

wtapia się w każdą postać, próbując nadać jej niepowtarzalny indywidualny charakter. Udaje mu się to, mimo tej samej szarej mgły, którą oblepia każdą ze wspomnianych postaci.

Kurt Wallander nie jest nikim specjalnym, pracuje w wydziale kryminalnym, jest rozwiedziony, nocą popija whisky zastanawia się nad zmianą zawodu. Tutaj Mankell mógł bardziej się postarać, kolejny rozwiedziony śledczy próbujący utopić w alkoholu smutki i stres pracy w policji - albo mi się wydaje, albo gdzieś już to było. Dla mnie zbyt bardzo w stylu amerykańskiego policjanta z wydziału zabójstw tuż przed emeryturą

lub prywatnego detektywa lat 20. Pomimo tego postać nadkomisarza jest unikatowa, tak więc można wybaczyć autorowi tę drobną sztafpowosć. Zdziwiło mnie to, jak bardzo bohater zmienia się w porównaniu z początkiem i końcem książki, choć tak naprawdę nie zauważałem aż tak ogromnej przemiany, która dokonywała się, jak widać, wraz z kolejnymi stronami powieści. Nadkomisarz Kurt Wallander nie spodziewa się, że sprawa pontonu to tylko niewielka część czegoś większego, góry lodowej, która zaprowadzi go aż do stolicy Łotwy. Kiedy prozaik przeniósł akcję do Rygi, nie byłem specjalnie zaskoczony, choć

zrobił to niespodziewanie, raptem w kilku zdaniach. Po tytule można spodziewać się związków z Łotwą, jednak tak szybka zmiana otoczenia powinna wyrzucić jakieś uczucia, których niestety w sobie nie znalazłem, może to wina specyficznego marazmu, w którym utrzymany jest klimat powieści. Właściwie trudno się dziwić, republiki nadbałtyckie, nie odbiegają znacząco od klimatu Skanii, może nawet potęgują szarość, dzięki socjalistycznym betonowym blokom. Zabrakło jednak czegoś porywającego, czegoś, co złamałoby choć na chwilę atmosferę powieści, po to, by móc zaraz do niej powrócić i poczuć ją od

nowa. Z czasem czytelnik przyzwyczaja się do chłodu, przez co powieść staje się nużąca i potrafi zmęczyć.

Łotwa na początku lat 90, czująca jeszcze zimny oddech post-radzieckiego systemu, jest o wiele bardziej niebezpiecznym miejscem niż Szwecja i jej mroźna zima. Panuje w niej inny rodzaj chłodu, bardziej nieprzyjemny, chłód ludzi broniących starego porządku dyktowanego przez Kreml. Ryga roku 1991 pełna jest jeszcze agentów KGB. Pozwala to autorowi na wprowadzenie elementów szpiegowskich, tj. nieustannego śledzenia, wymykania się tylnymi drzwiami, mikrofonów w budziku i

tajnych spotkań. Wallander jako bohater w pełni interakcyjny już w niedługim czasie doznaje mani prześladowczej, co tylko podkreśla misterną pieczołowitość i dbałość o kreację psychiki bohatera, której twórca powieści pilnuje na każdym kroku.

Mankell stara trzymać się czytelnika w niepewności i zagubieniu, tak, aby pod koniec książki zasypać go lawiną wyjaśnień i ostatecznie rozmyć mgłę pełną szarości i niedomówień. Zagadki, wraz z upływem akcji, mnożą się i pogłębiają. Właściwie do końca książki nic nie jest do końca pewne i jasne. Jednak czytelnicy kryminałów, wytrenowani w szukaniu niuansów

i rozwiązywaniu zagadek jeszcze przed bohaterami, już od mniej więcej połowy domyślają się wszystkiego, wyłapując przy okazji kilka drobnych sprzeczności. Podsumowując, powieść doskonale sprawdza się w czytaniu podczas zimowego wieczoru, gdy na dworze hula wiatr i śnieży, prawdopodobnie latem sprawdzi się też w roli klimatyzacji, wprowadzając niewielki powiew chłodu.

*Henning Mankell,  
Psy z Rygi,  
przeł. Grażyna Ludvigsson,  
Wyd. W.A.B.,  
Warszawa 2006.*



**Paulina Kubacka**  
**Być dziełem sztuki**

Któż z nas nie chciałby przeobrazić się w dzieło sztuki? Podziwiane, uwielbiane, budzące zachwyty? Ile pieniędzy wydajemy każdego roku na toniki, cienie do powiek, pudry, tusze, buty i ubrania tylko po to, by zatracić swoją naturalność i podążać za trendami mody? Ile wysiłku tracimy, by nasz wizerunek budził skojarzenia z papierowymi zdjęciami modeli w kolorowych magazynach? Tak więc powtórzę raz jeszcze: któż z nas nie chciałby przeobrazić się w dzieło sztuki? Ten, kto zetknął się z najnowszą książką Erica-Emmanuela Schmitta, z pewnością odpowie odmownie.

„Kiedy byłem dziełem sztuki” -

można by przeczytać tę książkę jednym tchem, uśmieć się, odłożyć na półkę i zapomnieć o niej następnego dnia. Proponuję jednak trochę się nad nią zastanowić... Z pozoru lekka, zabawna i przyjemna. Sielskie zakończenie, mały romansik, miłość po grób i kilka banalnych prób samobójczych głównego bohatera. I tak zmierzamy od końca do początku, ale może po kolei... Wbrew temu co napisałam, powieść nie jest historią modelki, która zbankrutowała kupując coraz to nowsze tusze do rzęs, ale raczej historią przemiany młodego człowieka z nijakiego, zakompleksionego i żyjącego w cieniu chłopca w dojrzałego, mądrego

i doświadczonego przez życie mężczyznę. A wszystko to w jeden rok, może z małym hakiem. Na początku znajdujemy opis bohatera. To obraz człowieka zrozpaczonego, rozżalonego, nieszczęśliwego i tak nieudolnego w swym działaniu, że gotów jest wyzbyć się wolnej woli i oddać w ręce przypadkowo poznanego człowieka, co też czyni. Gdyby tak przestał myśleć, gdyby tak przestał czuć... zapewne jako dzieło sztuki, eksponat, rzecz byłby najszcześniejszą istotą na świecie. Istotą, bo przecież nie człowiekiem. Gdyby... ale to na szczęście nie leży w jego naturze. Utracona wolność najbardziej przecież smakuje. I tak,

pozbawiony wszystkiego, co posiadał, pojmuje sens swojego istnienia.

Eric-Emanuel Schmitt jest obecnie jednym z najbardziej poczytnych pisarzy francuskich. Jest też dramaturgiem i filozofem, i jak na filozofa przystało wnosi do swej powieści dawkę pewnej mądrości. W czym objawia się ta mądrość? Autor pokazuje nam świat w najdrobniejszych szczegółach i podaje na tacy wszystkie ludzkie przywary, tak, by czytelnicy mogli obejrzeć je przez lupę. Fabuła przepełniona absurdami odsłania wszystko, co warto wyśmiać we współczesnym świecie: żądę władzy, ulotność sławy, dwulico-

wość... sprzedać można nawet człowieczeństwo. Jakby Schmitt narysował płaską kulę ziemską po to tylko, by wyśmiać jej kulistość. Powieść dotyka też problemu sztuki, która coraz częściej zyskuje to miano tylko dzięki swej popularności, a nie walorom artystycznym.

Kto lubi doszukiwać się w literaturze morałów i ukrytych treści, znajdzie tu ich wiele. Piękno sztuki jest w stanie zweryfikować tylko czas. Wszystko, co stworzone przez poklask, jest puste i rozplywa się jak kostka lodu w gorącej herbacie. O czym jest więc historia młodego chłopaka, który był dziełem sztuki? To historia bohatera, który będąc

wróblem zapragnął zabłysnąć w światłach reflektorów jak paw. Bohatera, który później jako paw zatęsknił do swoich szarych piórek. Może więc po prostu autor chciał przypomnieć nam, że niektóre wartości doceniamy dopiero wtedy, gdy je utracimy.

*Eric-Emmanuel Schmitt,  
Kiedy byłem dziełem sztuki,  
tłum. Maria Braunstein,  
Wyd. Znak,  
Kraków 2007.*



## Tobiasz Sobos

# Zwyczajny dramat, zwyczajny strach

„Czarne rondo” Witolda Wedeckiego to kolejna książka z serii „Archipelagi” wydana przez Wydawnictwo W.A.B. Tym razem czytelnik spotyka się z rzeczywistością Kresów Wschodnich w czasie II wojny światowej. Weddecki, jak przeczytałem, urodził się na Wileńszczyźnie w 1944 roku, a obecnie mieszka w Gliwicach. Zatem można się domyślać, że jest tzw. „repatriantem”. Słowo repatriant dlatego piszę w cudzysłowie, gdyż repatriant to osoba powracająca do kraju po długim pobycie na obczyźnie, zwykle jeńiec wojenny, uchodźca, przesiedleńca, a Wilno było przed 1939 roku było w granicach II Rzeczypospolitej, zatem nie można mówić o repatriacji. Termin, można

tak powiedzieć, bywa stosowany bezzasadnie w stosunku do masowych wysiedleń i przesiedleń stałych mieszkańców obszarów, które wskutek zmian granicznych zmieniły przynależność państwową.

Akcja powieści rozgrywa się w Ejszyszkach i w okolicznych wsiach położonych na Wileńszczyźnie. Poznajemy życie zastraszonych mieszkańców. Z jednej strony hitlerowcy, z drugiej partyzanci, z trzeciej Sowietci, a na dodatek kolaboranci zwani szaulisami. I w ten sposób osaczone społeczeństwo przeżywa frustrację i ciągły lęk. Ludzie opisani w książce spotykają się ze śmiercią niemal na każdym kroku. Na początku powieści mamy obraz

zabójstwa dokonanego przez hitlerowców, a następnie pochówek zabitych. „Tracić bliskich na wojnie niby rzecz zwyczajna, ale ciągle bolesna” (s. 17).

Mieszkańcom ciągle coś grozi. Jedni ukrywają się przed wywiezieniem na roboty do Niemiec, inni boją się, że partyzanci zabiorą im żywność. Lękano się nawet spojrzeć na partyzantów: „[...] ludzie w przerażeniu opuszczali wzrok, zapadali się pod ziemię, omijali, udawali, że nie widzą” (s. 26). Partyzanci nie mieli dobrej opinii we wsi. Utożsamiano ich z wrogiem, który rabuje, co popadnie. W książce mamy na przykład opis uderzenia partyzantki na garbarnię w Ejszyszkach (s. 51).

Weddecki oprócz po-

czyną hitlerowców i partyzantów opisał działalność tzw. szaulisów, czyli kolaborantów. Takim zdrajcą jest Miszkiń, który nawet dla wrogów zmienił swoje nazwisko na Miszkinis. Przez tego człowieka zginęło wielu ludzi, między innymi młoda dziewczyna Jadźka, która pomagała partyzantom, a w której niegdyś kochał się ów Miszkiń: „[...] do niej cholewki smałeś onegaj. Podstępnie zza winkła, z kamratami zastrzełeś. Wysła dziewczyna po wodę do studni i wtedy ją kulką poczęstowałeś...” (s. 261). Miszkiń gwałcił nieletnie Żydówki. Namawiał ludzi do współpracy z okupantem, w powieści mamy dialogi pomiędzy nim a Żmogusem – jego sąsiadem, których tematem jest

propozycja zostania szpiclem.

Nie tylko wojną ludzkie podczas wojny żyją. Autor przedstawił kilka historii zwykłych ludzi. Broniusz to chłopak, który jest uważany przez społeczność za pomyślna. Na takie miano zasłużył opowiadając o swoich rozmowach z Bogiem i o planowanej wyprawie do Palestyny. Ludzie z uśmiechem przyjmują informację, że Broniusz zaczyna budować kaplicę. Dzieło ukończył, lecz zostało spalone przez szaulisów podejrzewających, że w kaplicy są partyzanci. Biedny Broniusz patrzy, jak płonie zbudowana przez niego świątynia, narrator zaś дума: „Bogu widocznie świątyni nie brakuje, nie chciał strzec leśnego przybytku” (s. 231).

Inna ważna postać, która się pojawia w utworze, to Dionizy zwany Donem Bazylem. Mężczyzna jest niczym wyrocznia dla mieszkańców Ejszyszek, bo niedawno wrócił z Ameryki (Hameryki) i opowiada o świecie za oceanem. Bazyl, oprócz opisywania Ameryki, organizuje treningi i mecze bokserskie. Jest podporą duchową dla chłopaków, którzy nie mają, co ze sobą zrobić, dopinguje ich do pracy i walki: „nie możecie zostać łamagami, nie wy macie ganiać za babami, ale one za wami” (s. 253).

W „Czarnym rondzie” znajdziemy opisy kazań księdza Montwiłła, który, niczym barokowy poeta Józef Baka, ostrzega młodzież przed śmiercią.

Ksiądz ten swobodnie nawiązuje dialog między religiami: spotyka się z rabinem na grze w szachy, razem popijają śliwowicę i rozważają dylematy wiary. Na przeciwnym biegunie, tym oddalonym od świętości, znajdziemy Lilianę Ruską. Kobieta ta przedstawiona zostaje jako nimfomanka, przyciągająca do siebie tylko młodych chłopców: „Kawaleria waliła do niej drzwiami i oknami, a ona sprawdzała, czy jest mleko pod nosem. Starszych goniła precz” (s. 283). Nawet Broniusia chciała zwieść w kaplicę.

W powieści znajdziemy fabularną wersję historii opisywanych terenów. Po wojnie wkroczyli tam Sowietci, a ludność musiała uciekać, część trafiła do

Polski, a część niestety zesłano na Syberię lub za Ural. Niektórzy z bohaterów, żeby nie spotkać rosyjskich wojsk wybierali śmierć samobójczą niczym bohaterki reportażu „Noc w Wildenhagen”: „Stary Świackiewicz powiesił się na strychu. [...] Paszkiewicz wymordował całą rodzinę, aby uniknąć sowieckiego szczęścia, [...] Sieklucki napił się trucizny” (s. 300).

Witold Wedeckie przedstawił smutne losy ludności polskiej z Wileńszczyzny. Opisał wieczny strach przed okupantem, bojaźń przed grabieżą planowaną przez głodnych partyzantów, obawy przed sąsiadami-kolaborantami. Wyrzynanie zwierząt gospodarskich, podpalanie obejść,

okradanie domostw - to spotykało mieszkańców podczas okupacji. Natomiast po wojnie musieli spakować się, nierzadko w jedną walizkę, i ruszyć w nieznaną. Opuścić własną ziemię ojczystą. Zaczynać wszystko od początku. Taką historię opowiada wilnianin mieszkający na Śląsku, opowiada językiem kresowej polszczyzny, pełnej pytań kończących się na „a”, wzmacniających wypowiedź, np. „Czyż ja przeciw, swołacz, a?” (s. 279). Język ten można usłyszeć z ust pani Stanisławy – bohaterki serialu „Klan” (grana przez Kaziemierę Utratę-Lusztig). A jeśli już o serialach mowa to książkę Wedeckiego śmiało mogę porównać z „Bożą podszewką” (reż. Izabella Cywińska), serialem powstałym

na podstawie powieści Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz o tym samym tytule.

I choć wydaje się nam, że takie lub podobne historie już znamy, to i tak „Czarne rondo” wprowadza czytelnika w jakieś dziwne kołowanie, z którego nie można normalnie wydobyć się. Aż czarno robi się w głowie o tego jeżdżenia w kółko... Pamięć i historia robią więc z człowiekiem, co chcą.

*Witold Wedeckie,*  
*Czarne rondo,*  
*Wyd. W.A.B.,*  
*Warszawa 2006.*

